

oryg. u R. R. - Włocławek  
(Lipca - styczeń)  
nie opłacone

Janina Maciuk z d. Jakubcewicz, zam. Jelenia Góra, ul. Mickiewicza 23/3.

Wywiad zapisany na taśmę magnetofonową przez Janinę Woźczuk  
Wykorzystany do tematu: Ziemia Lidzka

© ARCHIWUM WŁOCŁAWIE

Janina Maciuk z d. Jakubcewicz. Urodziłam się w 1922 r. 19 września w osadzie Marysin w województwie nowogródzkim, powiat Nowogródek, gmina Szczorsy, parafia Niechniewicze. Imiona rodziców: Michał i Maria. W 1938 r. zmarła moja mama, ja byłam najstarsza, miałam 16 lat i opiekowałam się młodszym rodzeństwem. W 1939 r. w lipcu, w rocznicę śmierci mojej mamy ojciec ożenił się ponownie

17 września 1939 r. wkroczyła do nas Armia Radziecka. Przeżyliśmy to strasznie. Czołgi jechały bez przerwy, był straszny huk.

Ojciec mój był legionistą i dostał 12-hektarowe gospodarstwo. Wybudował się w Marysinie, państwo dało pożyczkę bezwrotną na wybudowanie domu - i tam mieszkaliśmy. Ojciec pochodził z Wileńszczyzny, mamusia też była z tamtych stron, z Nowogródzkiego. Marysin był osadą wojskową, mieszkało tam 42 osadników z rodzinami. Każdy mieszkał na swoim polu, na terenie rozparcelowanego majątku.

Naszymi sąsiadami-osadnikami byli: Bieniasz, Kaczmarek, Stawarz, Sosnowski, Okulski, Zacharewicz, Tamolonis, Kosakowski. Chodziłam z nimi do szkoły, we wszystkich rodzinach były dzieci w moim wieku. Chodziliśmy do szkoły do Kolczyc. Przed wojną szkoła miała 4 klasy, klasa IV była dwuletnia, a więc chodziłam rok do klasy IV a i rok do klasy IV b. Później chodziłam do Niechniewicz do V klasy, potem znowu była szkoła w Marysinie - i tam chodziłam do VI i VII klasy. Szkołę ukończyłam przed wojną i byłam przy ojcu na gospodarstwie, opiekowałam się rodzeństwem.

Weszli Rosjanie. Pamiętam wieczorem: puka ktoś do okna. To był nasz sąsiad Sawicki. Sawicki był starym kawalerem, był zamożny i prawdopodobnie na niego pierwszego napadli Białorusini, żeby go zamordować. Sawicki pukał do nas, był cały zakrwawiony, prosił, żeby

Janina Maciuk c.d.

go wpuszcic. Ojciec chcial to zrobic, ale w domu byla juz macocha. Macocha powiedziala, zeby go nie wpuszczac, bo przez niego jeszcze my bedziemy mieli nieprzyjemnosci. Osada Marysin byla otoczona ze wszystkich stron wioskami z ludnoscia bialoruska. W pobliżu byly tez inne osady - Adamów, Ostaszyn - tam tez mieszkali osadnicy wojskowi. Wsie bialoruskie byly prawoslawne.

Nastepnego dnia aresztowano ojca. Macocha nigdy byla komunistka, ale przedtem o tym nie wiedzieliśmy. A teraz ona mowila: "O, nareszcie doczekalam sie. Tyle lat czekałam na to, zeby Sowietci tu weszli!" Macocha byla z sasiedniej wioski, byla prawoslawna. Byla ladna, mloda. Ojciec sadzil, ze to dziewczyna z biednej rodziny, ze saopiekuje sie dziecmi. Macocha byla ze wsi Ponieon, na imie miała Aleksandra. Jej matka uczyla ja, zeby byla dobra dla nas, bo my jesteśmy sierotami. Ale gdzie tam! To byla wredna baba. Ojca aresztowali, a ona zostawila dom i poszla sobie. Aresztowali wtedy prawie wszystkich męszczyzn osadników. Zostaliśmy wiec sami - ja i rodzenstwo: Teresa - z 1926 r., Czesław - z 1928 r., Lucyna - z 1932 r.

Poszliśmy do sasiadów, do Bieniaszów /oni sa gdzieś we Wroclawskiem, wielu umarło na Syberii, Józek zabity na Froncie/. Patrę w okno i widzę, ze biegną jacyś ludzie. Biegna... a wśród nich ktoś okryty czerwona chustka. Pomyślalam, ze to nasza znajoma biegnie /pani Stasuewska?/, bo ja widzę jej chustkę. Wpadaja - a to Bialorusini. Wpadaja do Bieniaszów i zabieraja wszystko, co jest. To ja biegnę do swojego domu, zeby coś schować. Schowalam lepsze rzeczy do kufra i kufer zamknalam na klucz. Bialorusini wpadaja do nas i taki kowal razem z nimi. Rozglada sie po mieszkaniu, a na scianie wisi portret Pilsudskiego na Kasztance. Zerwali ten portret ... /nie mogę dalej mówić/

Zanim bolszewicy wkroczyli, stosunki z osadnikami byly poprawne. ludzie żyli zgodnie. Wsie bialoruskie byly biedne. Mielismy sasiedza Bialorusina, mieszkal już w innej gminie, przez drogę. Nazywał sie Sebastianowicz, ale mowilismy na niego "Patronka". W tej rodzinie

Janina Maciuk c.d.

byli rodzice, 3 siostry i 2 braci. Oni nam bardzo pomagali - przy zbiorach, przy wykopkach. Ojciec nasz dawał im siano, słomę. Oni byli bardzo dobrzy. Na Syberię przysyłałi nam paczki. To byli prawosławni.

Ci, którzy wpadli do naszego mieszkania, zerwali portret, pobili szkło a portret porwali na kawałki. Wzięli to, co było w domu, i - do szpitala. A w szpitalu był kufer. Kowal zaczął krzyczeć, żebym oddała klucze. Ale ja klucza nie dałam. To on złapał siekierę, rozwalił siekierą wieko kufra - i zaczęli wyjmować z kufra rzeczy - ojca czarny garnitur, buty... To ja wzięłam takie buty-wiatrówki i trzymałam pod pachą. Odebrali ode mnie te wiatrówki. Później zaczęli się między sobą bić o rzeczy, szarpać. W pobliżu stała walizka. Złapali więc tę walizkę, wybrali z niej rzeczy, a walizkę kopnęli na podwórko. Powiedzieli na dodatek: "Teraz zabieramy wasze rzeczy, a w nocy wasze głowy będą w stawie pływać". Bardzo baliśmy się. Poszliśmy na noc do sąsiadów. Byliśmy dziećmi - wprawdzie ja miałam już 16 lat, ale co to jest. Poszliśmy więc do Węglickich. Ale tam też nie było już mężczyzny, był tylko brat Węglickiej - Józek. W domu zabrakło miejsca na podłodze, poszliśmy więc do stodoły na siano. Ale w nocy chodzili z latarkami, szukali nas /a myśmy spali wtedy w kartofliśku, zmarzliśmy i poszliśmy potem spać do stodoły/.

Przed wojną nie wyczuwano się wyraźnych nastrojów komunistycznych ludzie nie spodziewali się, że Białorusini tak się zachowają po wkroczeniu Rosjan.

Przed wojną przed 1 Maja osadnicy mieli dyżury, żeby dopilnować, żeby nie wywieszano czerwonych flag. Był kiedyś taki przypadek: osadnik pan Janczewski podczas swojego dyżuru znalazł na drzewie w Marysinie czerwoną flagę. Znalazł też dokumenty człowieka, który wiessając flagę, zgubił je. Jankawki Janczewski zgłosił to i tego człowieka zamknęli. W 1939 roku Białorusini zemścili się na nim - Janczewski został aresztowany i ślad po nim zaginął. Syn Janczewski:

Janina Maciuk c.d.

go mieszka w Legnicy. Odwiedził mnie kiedyś. W gazecie też był z nim wywiad /mam tę gazetę/. O ojcu Janczewski nie wie nic aż do dziś.

Pewnego dnia wróciła nasza macocha. W tym czasie zabrali nasz inwentarz - zostawili jednego konia. To rabowało ni wojsko. A z wojskiem było tak: kiedy nas zaczęto rabować, to wybiegliśmy na drogę, którą szła wojską. Ktoś upadł w poprzek drogi, to żołnierz z pepeszą pyta: "W czym dieło?" To my mówimy, że nas rabują, mordują /bo mordowali też, zamordowali m.in. mojego kolegę Andrzeja Szyszeję - naczelnika poczty w Szczerosach/. To ten żołnierz tak powiedział, że Stalin dał ludziom swobody trzy dni, żeby zrobili porachunki z tymi, którzy im przeszkadzają. A po trzech dniach wrócił z więzienia z Berezy komunista. To jest Białorusin - Władysław Partol - mieszka obecnie w Krakowie, jest pułkownikiem, nie wiem tylko, dlaczego nosi polski mundur. Otóż ten Partol zwołał zebranie w wiosce K<sub>o</sub>łczyce i powiedział ludziom, żeby zwrócili zgrabione rzeczy, bo władza sowiecka nie pozwala tego robić. Sam Partol był z K<sub>o</sub>łczyc. Zaczęli więc niby zwracać rzeczy, ale to było nic. Znosili te rzeczy do szkoły i tam każdy chodził swoje rzeczy poznawać. Ale większość rzeczy przepadła. Inwentarza też nie zwrócono. Nam pozostawiono jedną krowę, konia, świnie i chyba dwie owce. A byliśmy już w miarę zamożni, chociaż początki gospodarowania rodziców były ciężkie - mieli tylko pole, ale powoli dorobili się.

Pewnej nocy, kiedy spaliśmy u Węglickich na podłodze, usłyszeliśmy, że ktoś puka... To był nasz tatuś! Kobiety rzuciły się na mego ojca: A gdzie mój mąż? a gdzie mój.. A ojciec mówi, że tylko ich trzech zwolniono: Wojciecha Wojnarowicza, mojego ojca i jeszcze jednego. /Ojciec był z 1898 r./. Wróciliśmy więc do domu.

Kiedy ich aresztowano, to widzieliśmy, jak ich gnano do Nowogródka. Wszyscy mężczyźni, a było ich około czterdziestki /38?/, byli powiązani taką linką - wszyscy razem - i takich powiązanych gnali ich 14 km pieszo. Ojciec opowiadał potem, że wypuścili go z prze-

Janina Maciuk c.d.

pustką, która gwarantowała mu swobodę. W areszcie siedział kilka tygodni /może 2, może 3/. Przed wojną był u nas parobek, pomagał w polu. Parobka tego wybrali do milicji. Ojciec był dla tego parobka dobry i kiedy on zobaczył ojca aresztowanego w Nowogródku, to wstawił się za nim - i ojca wypuścili. Parobek ten nazywał się Swir /a imienia nie pamiętam/. Ojca więc wypuszczono, ale kazano mu się codziennie meldować. Zaczął do nas przychodzić ten komunista, który wrócił z Berezy. Przychodził do ojca dyskutować, ale ojciec bał się przed nim słówka sprzeciwu powiedzieć. Otóż ten Partol był u nas wieczorem - trochę zalecał się do mnie. Posiedział wieczorem i spokojnie poszedł do domu. A tu o godzinie 5 nad ranem słyszemy łomotanie do drzwi... Wpadli do domu z okrzykiem: "Ruki w wierzch!" Było ich pięciu NKWDzistów. Postawili nas pod ścianę, kazali oddać broń, rowery, radio... Ale nie mieliśmy już nic, bo nam już wcześniej wszystko zabrano. Kazano nam się zbierać. Nie powiedzieli, dokąd nas powiozą... Parę dni wcześniej ojciec miał zamiar zabić świnie, ale macocha odradziła - i ta świnia została...

Załadowano nas na sanie, zaprzęgnięto naszego konia, nasi sąsiedzi Sebastianowicze odwieźli nas do gminy Szczorse. Nie zabraliśmy dużo, nie pozwolono nam dużo zabierać, a poza tym - nie mieliśmy już co zabierać, bo nas przedtem obrabowano. Najmłodszej siostrze owinęliśmy nogi pakułami, bo nawet butów nie miała... I tak pojechaliśmy. Było to 10 lutego rano. Przywieźli nas na stację Nowojelnia, naszym koniem... tego nie zapomnę: kiedy wysiadaliśmy, to koń płakał - zwierzę przeczuwało nasze nieszczęście. Zabrali wszystkich osadników, zawrócili jedną rodzinę, bo kobieta rodziła - to była Kaczmarkowa /a jej męża aresztowano wcześniej/.

W wagonie było nas 65 osób. Był piecyk, okno zakratowane, drzwi zaryglowane, dziura do załatwiania potrzeb fizjologicznych... w wagonie dziewczyny młode, chłopaki... Żywności mieliśmy trochę swojej. Wieźli nas około trzech tygodni. Nie wiedzieliśmy, dokąd nas wiozą.

Janina Maciuk c.d.

W wagonie z nami byli Niewińscy /4 osoby/, Bieniaszowa - 5 osób: Józek, Bogdan, Halina, Jadzia i pani Maria Bieniaszowa. Niewińscy byli Stasia, Janek i Zygmunt i p. Maria Niewińska.

Co pewien czas wagon stawał i wywoływano: "Dwa czełowieka, dwa wiedra - za wodą!" Wychodzili więc po wodę... W wagonie ojciec ciężko zachorował. Nie wiedzieliśmy, czy dojedzie. Przywieźli nas do Wielka /a jeszcze w Smoleńsku wyszłam z Gienią Masiakową - Masiaków jechało 6 osób - 5 dziewczynek i matka. Chciałam z Gienią Masiakową uciekać, ale nas zaraz złapali i dali z powrotem do wagonu. Ale cobyśmy robiły, gdybyśmy nawet uciekły?/. /Jedna z córek Masiakowej - najstarsza nie została wywieziona, ona była zamężna za Białorusinem/.

Wielk znajduje się 200 km przed Archangielskiem. W Wielku czekały na nas już konie kołchozowe - zabiedzone, chude. Ludzie chorzy i dzieci posadzono na sanie, a młodzież i silniejsi starsi szli pieszo. Co 50 km konie musiały odpoczywać. Wioski po drodze były przygotowane na to, że nas będą wieźli: w chatach było napalone w piecu, był zagotowany wrzątek. Spaliśmy na piecach. Dawaliśmy kołchoźnikom kę słoninę, ale oni nie znali smaku słoniny i mówili: "Łuczszje liaguszku sjest" czem eto sało." Dojechaliśmy na 8 marca do poseszku Uksora /saniami jechaliśmy około tygodnia - przez las/. Ostatnia wioska była w odległości 35 km od poseszku Uksora, tam był ostatni nocleg. Pod wieczór przyjechaliśmy do Uksory. Część ludzi od razu została przydzielona do baraków, a część zakwaterowano w klubie. W Uksorze mieszkali Ukraińcy, którzy zostali tam przywiezieni w 1928 roku. Ich przywieziono po prostu do lasu i... róbcie, co chcecie. I oni robili szafasy początkowo - i tak przetrwali. A jak nas przywieźli, to już były baraki. Było 8 marca - i mówią nam: "Prasdnik" - a my nie wiedzieliśmy, co to za prazdnik. Skierowano nas do łaźni.

Janina Maciuk c.d.

W Uksorze z Marysina byliśmy już tylko my, Niwińscy i Masiaki. A reszta była w miejscowości Rosochy - 120 km od nas w innym kierunku. Miastem powiatowym był Szengursk. W tych Rosochach mieli jeszcze gorzej od nas.

Na trzeci dzień trzeba już było iść do pracy - piły, topory i... drzewo piłować. A kto to umiał? Były to przecież przeważnie kobiety i dzieci. Ja odrazu też poszłam do pracy, chociaż ojciec podał, że jestem o rok młodsza /z 1923 r./ Miałam pracować niby tylko 6 godzin, ale pracowałam 8. Harówka była okropna, śniegu bardzo dużo. Do lasu trzeba było iść nieraz 5 km. Jak zawiązało drogę, to trzeba było iść gęsiego, ślad w ślad. I normę trzeba było wyrobić. Nie wyrobisz normy - chleba nie dostaniesz. Jak zrobisz normę, to chleba masz 400 gram, a jak nie - to tylko 200 gram. Zupę przywozili nam do lasu, ale co to była za zupa. Rosjanie mówili: "Krupa za krupinkoj biegajet z dubinkoj". Raz przywieźli ten obiad i taki pan Haupt - z nadleśnictwa ze Zdzięcioła z okolic Łidy /tam byli prawie wszyscy pracownicy nadleśnictwa ze Zdzięcioła, m.in. mój przyszły mąż/ - mówi, że co to za zupa; wypluła tę zupę i miskę rzucił w krzaki. Minęły 2-3 godziny - i zjawili się NKWDziści. Dostał 10 lat, wysłali go gdzieś na Kamczatkę. Rodzina myślała, że on już zginął. To był Mieczysław Haupt. Tam jeszcze w Uksorze aresztowali wiele osób, wiadomo za co, m.in. nadleśniczego Kucharskiego. Z Kucharską mieszkała pani Bilewiczowa /teras mieszka w Warszawie/, mieszkała pani Zakrzewska. Pani Zakrzewska urządziła na Boże Narodzenie choinkę. Poprosiła żebyśmy przynieśli drzewko z lasu, nawycinaliśmy z gazet zabawek /to było nasze pierwsze Boże Narodzenie/, zaczęliśmy śpiewać kolędy. Wpadł NKWDzista: "Kto wam pozwolił? Kto to zrobił?" A pani Helena Zakrzewska zorganizowała tam oś w rodzaju harcerstwa, uczyła trochę po polsku. Ona była sama, jej mąż był oficerem. Panią Zakrzewską zamknęli. NKWDziści chodzili po nocy po barakach i sprawdzali... W naszym pomieszczeniu było nas 6 osób i państwa Nowaków - 5 osób.

Janina Maciuk c.d.

Pomieszczenie miało może 15 m<sup>2</sup>. Było w podłodze 11 desek. Więc młodzież podzieliła się, że każdy mył swoje deski i zabraniał innym chodzić po tych deskach. Z Nowaków byli: Nowak, Nowakowa, /Adolf i Bronisława/, dzieci: Wanda, Teresa i Rysiek. Oni nie byli z Marysina. Nowak też był osadnikiem wojskowym - nazwy osady nie pamiętam. Nowakowie byli bardzo dobrymi ludźmi. /Byłam w tym roku u Wandzi Nowaków w Koszalinie. Jej brat też jest w Koszalinie, był redaktorem "Głosu Koszalińskiego"/. Kiedyś Rysiek Nowak zaginął w lesie, szukaliśmy go 3 dni, myśleliśmy, że już nie żyje - bo to był kwiecień. Znalazł go taki pastuch koni - i Rysiu do dziś żyje.

W czasie transportu nie dojechali wszyscy żywi. Ludzie umierali. Dzieci małe wyrzucano z wagonu, a starszych chowano przy torach kolejowych.

Na Wigilię Bożego Narodzenia chyba dostaliśmy skądś parę ziemniaków. Modlić się zbiorowo w barakach nie wolno było. Z Kresów dostawaliśmy listy od tych naszych sąsiadów Białorusinów i od bratanka mojej matki /on nas jakoś odnalazł, teraz mieszka koło Katowic/. Ale listy często nie dochodziły. Od tych sąsiadów może 2 paczki dostaliśmy.

Praca ciężka była okropna. Ja jeszcze miałam taką pracę w ziemie, że chyba najcięższą z całej rodziny. Polewaliśmy lodziankę - drogę, po której zwożono drewno. Trzeba było polewać drogę w nocy, żeby na dzień droga była gotowa. Trzeba było przedtem wyrąbać przerebę i nalać wody do takiego beczkowsu z dwoma otworami. Do beczkowsu trzeba było wlać 200 wiader wody! Często uprzędk konia psuła się, trzeba było po nocy jeździć naprawiać. Byłam pooblewana tą wodą - z kufajki robił się lodowy pancerz, w walonkach szło się jak na obcasach. Przyjeżdżaliśmy do baraków ranem, kiedy inni ludzie szli do pracy. Tego ubrania nie było gdzie wysuszyć, bo wszystko było oblodzone. Na wieczór wkładało się znów wilgotne ubranie, które zamarzało. To było okropne. W dodatku nie byliśmy przecież w barakach w Ukorsze. W posiołku byli starzy i dzieci.



Janina Maciuk c.d.

II strona

Rodzina Maciuków składała się z rodziców: Grzegorz i Olga, dzieci: Władysław, Sergiusz /mój mąż/, dzieci Władysława: Jan, Wacław i Anna. Anna zmarła na Syberii. Zmarli też rodzice - Grzegorz i Olga. Bratowa, żona Władysława miała na imię Maria. A teraz to już pounierali w Białogardzie. W okolicach Uksory byliśmy 4 i pół roku, bez przerwy. Kiedy Sikorski zawarł porozumienie z Rosjanami, to nam wolno było wyjechać do kołchozu. Wyjechaliśmy więc do kołchozu, nazwy kołchozu nie pamiętam, ale wieś nazywała się Rajbała. Tam mieszkaliśmy. Ja tam długo nie nanieszkałam, bo mnie wysłano do Rosoh na spław, tam byli nasi, Polacy. A z kołchozu wysyłali młodzież rosyjską, to i mnie wzięli. W Rosohach mieszkali Polacy w warunkach jeszcze gorszych niż my. Przeżyliśmy strasznie to spotkanie, bo spotkałam się z kolegami, koleżankami z Marysina. Byłam tam chyba ze dwa tygodnie. Skończyliśmy pracę i wróciliśmy do Rajbały.

Jak Sikorski zginął, to wyszło zarządzenie, żeby wszystkich Polaków cofnąć na stare miejsca. Wróciliśmy więc znowu do Uksory. Byliśmy tam do lipca 1944 roku.

/Czy w międzyczasie wyszedł ktoś do Andersa?/

Do Andersa wyszedł m.in. Zbyszek Anderle, Władek Kudliński, Modzeński /ale Modzeńskiej nie wypuścili, poszedł sam pan Nodzeński/. Nodzeński był w pod Monte Cassino, niedawno zmarł.

Rodzina Anderle była z Nowogródka. Ojciec Zbyszka był naczelnikiem poczty. Siostra Zbyszka - Halina Anderle zmarła w drodze do tej armii.

Kudliński był z Łodzi. Ale w 1939 roku, kiedy już armia polska była rozbita, on przyjechał do ciotki, chyba Matuszewskiej, na kresy. Kiedy więc wywozili ciotkę, to zabrali i jego. On wyrobił mi dokumenty i ja też mogłam iść do Andersa, ale szkoda mi było zostawić rodzeństwa, bo moja macocha zaczęła latać za młodymi chłopakami, ojca rzuciła. Szkoda mi więc było dzieci i tak z nimi zostałam.

Janina Maciuk c.d.

Z Anglii dostawaliśmy ubrania, zupełną sproszkowaną, margarynę - jeszcze będąc w Uksorze. Wymienialiśmy te ubrania na żywność, na ziemniaki. Pewnego razu ojciec nasz poszedł wymieniać coś na żywność. Czekał, czekał, minęło trzy dni, a ojca nie ma. Chodziliśmy po żywność do kołchozów. Najbliższy kołchoz był w odległości 35 km. Wreszcie ojciec wrócił - i nic nie przyniósł: tam ludzie też byli biedni. Kiedyś poszłam z panią Łahucikową /jej córka mieszka teraz w Gryfowie/ wymieniać coś na żywność. Nie byłyśmy trzy dni w pracy. Jesteśmy już w lesie, przychodzi naczelnik i mówi: "Zdrowstwujićcie, simulanty!" Odpowiadam: "Zdrowstwujićcie". Na to on, że dobrych Polaków władze odesła na południe, a "swołoczi zdieś ostanutsia", - to było skierowane do mnie z panią Łahucikową. A ja na to - rąbię sobie spokojnie siekierką i mówię: "Da, nas uwiezut na jug, a swołoczi zdieś ostanutsia." Naczelnik na to podskoczył: "Czto ty skazała!" Pani Łahucikowa, osoba starsza, przestraszyła się, mówi, że mogą nas przecież zamknąć, ale nic nam naczelnik nie zrobił. Wyjechaliśmy potem na Ukrainę.

Dużo młodych mężczyzn zabrali na prace obronne: do kopania okopów czy jakichś innych umocnień. Opowiadał o tym później mój przyszły mąż: siedzą oni gdzieś wieczorem przy ognisku i wpada ktoś i woła "Słuchajcie, mam polską gazetę!". W gazecie pisze, że organizuje się polska armia. Wtedy wszyscy porzucali siekiery i poszli do pierwszej lepszej stacji i pojechali. Tak właśnie dostał się mój mąż do wojska.

Zapomniałam jeszcze opowiedzieć, jak na nartach jeździliśmy po lesie w poszukiwaniu brzozy. Z brzozy robiono kolby do karabinów /dla wojska/ i coś do samolotów.

W Uksorze zmarł ojciec męża. A mąż wrócił ranny, o kulach, też na Uksorę /nie był wtedy jeszcze ani moim narzeczonym, ani mężem/. Leżał przedtem w szpitalu w Moskwie. Tam przyszła do niego Wanda Wasilewska. Zapytano go, dokąd chce jechać, bo jest

Janina Maciuk c.d.

wolny i może jechać, gdzie chce. Na to on odpowiedział, że ma matkę w Uksorze i chce wrócić do Uksory. Wrócił więc do Uksory ze względu na matkę.

Wyjeżdżamy więc na Ukrainę. Przywiezli nas do Szengurska, stamtąd statkiem przywiezli do Archangielska. W Archangielsku mieszkaliśmy chyba ze trzy doby w jakiejś świetlicy. Tam wszedł ktoś i ogłosił, że jeśli ktoś dobrze pisze, to może zgłosić się do kancelarii. więc się zgłosiłam. Tam, w kancelarii podsłuchiłam taką rozmowę, że w pewnym sowchozie jest bardzo dobrze. Zapisalam więc do tego sowchozu swoją rodzinę, rodzinę męża i kilka innych rodzin. Przyjechalismy więc do województwa K<sup>1</sup>rowograd, stacja Funduklejwka, miasto Aleksandrowka. Przyjechało nas tam może ze 20, może ze 30 rodzin. Zostalismy rozdzielone do sowchozów. To był sowchoz Iwangorod, Bołtyuszka i Nieswatkowo. W naszym sowchozie bylismy my /Jakubcewicz/, Maciuki, Gedymin /on pochodził z Wilna/, pani Masajowa, pani Filipczak i Bublejowa. To były same kobiety. Z mężczyzn był tylko mój mąż, jego brat i pan Gedymin, był też mój ojciec. Ale po kilku dniach ojca zabrali na front. Zabrali go do ruskiej armii. Mój ojciec był strasznym przeciwnikiem komunizmu i wiecznie się kłócił z tymi władzami. Już w Uksorze mieli go zamknąć. Ale uradzili, że wywiozą go na Ukrainę i stamtąd wyślą na front.

Aiedy ojciec poszedł na front, zostalismy sami. Również w rodzinie męża zmarła matka, on był też sam - z bratem, bratową i ich dziećmi. Tam się pobralismy. Żylismy bez oficjalnego ślubu - ale bylismy małżeństwem. Ślub bralismy już po wojnie w Połczyniu Zdroju - kościelny i cywilny.

Miejscowi Ukraińcy odnosili się do nas nie bardzo dobrze. Ale kierownictwo traktowało nas dobrze. Dyrektor cukrowni, której podlegały te trzy sowchozy, Moskalenko zrobił z nami zebranie i powiedział: "Wiedzieliśmy, że przyjedziecie. Mielicie przyjechać

Janina Maciuk, c.d.

w kwietniu. Ponieważ nie przyjęcinaliście, to zasadziliśmy na każdą rodzinę po 10 arów ziemiaków." Były też pobudowane piękne baraki. Dostaliśmy pokoje w tych barakach. Był już lipiec - miesiąc nas wieźli. W drodze były naloty, uciekaliśmy z pociągu. Były w sowchozie jabłka, arbuzy, pomidory - tam już odżyliśmy! Ukraińcy nie lubili Polaków i Rosjan /potem było tam dużo ewakuowanych Rosjan z miast/ - to my przyjaźniliśmy się z Rosjanami. Był taki dyrektor - Waciuk - i on powiedział, żebyśmy zrobili takie polskie przyjęcie, a on wszystko na o przyjęcie nam wypisze: kury, melasę na bibber. Ale nie kazał nikogo z Ukraińców zapraszać - tylko samych Polaków. Dlatego też dobrze żyliśmy z Rosjanami. Nam na Ukrainie było już nieźle.

Ojciec przysłał z frontu ze dwa listy. A macocha porzuciła ojca jeszcze w Uksorze. Na Ukrainie byłam kierowniczką sklepu. Sprzedawałam chleb, wódkę, arbuzy. Ale ti całe kierownictwo było takie durne... Przywożono mi drabiniastym wozem arbuzy - na sztuki, a kazali sprzedawać - na kilogramy. Rozliczałam się więc ze sztuk. Miałam już pieniądze. Jaka tam była żyzna ziemia! Jaki tam był słonecznik, kukurydza! Kradliśmy słonecznik, woziliśmy go do olejarni, przywoziliśmy stamtąd już wyłuskane ziarenka. Ale tam też trzeba było pracować w polu. Ja pracowałam w sklepie, a mój mąż pracował w stolarni. A kiedy nas przywieźli na Ukrainę, to ojciec też zaczął w stolarni pracować. Czym tylko mój ojciec nie był - i zdunem, i szewcem, i stolarzem. Ojciec wrócił z frontu żywy. Uciekł z rosyjskiego wojska do polskiej armii. Ale my o tym nie wiedzieliśmy.

Kiedy w 1946 roku wywozili nas już do Polski, to Ukraińcy płakali za nami. Wyjechali z Ukrainy wszyscy Polacy.

W 1941 r., kiedy byliśmy w Uksorze, zostaliśmy wezwani do Szengurska. Tam siedzieliśmy w urzędzie, wzywali pojedynczo - ten, kto wszedł, wychodził innymi drzwiami - nie było więc kontaktu.

Janina Maciuk c.d.

Oczekujący nie wiedzieli więc, co się dzieje za drzwiami. Podobnie było ze mną: weszłam do pomieszczenia, gdzie siedział NKWDzista. Powiedział mi, że otrzymam ruski paszport. Zdziwiłam się, powiedziałałam, że nie jestem Rosjanką. Na to on, że jeśli nie podpiszę, to świata nie ujrzę. Zapytałam, czy wszyscy przyjęli te paszporty. Odpowiedział mi, że wszyscy. Jak wszyscy, to i ja. A później musieliśmy się zrzekać tego obywatelstwa, kiedy wyjeżdżaliśmy do Polski. Mam legatymację Związku Patriotów Polskich. Wtedy w Szangursku wszyscy przyjęli te paszporty, nie słyszałam, żeby kogoś z naszych znajomych aresztowali.

Przyjechaliśmy do Polski w 1946 roku. Sama podróż - byliśmy bardzo zadowoleni. Już nawet jak nas na Ukrainę wieźli, to był płacz z radości, że wreszcie coś się dzieje. A dużo ludzi płakało, że dużo ludzi z rodzin zostało - tam dzisiaj już tych mogił nie ma, ale wtedy było ich dużo.

Kiedy jechaliśmy do Polski, to pociąg czasami przystawał po drodze - czasami na godzinę, a czasami na 6 godzin. Moja siostra miała wówczas 11 lat. W wagonie było 65 osób, ale okna nie były już zakratowane. Wagon czasami odczepiano, grasowały jakieś bandy, Ukraińcy mogli napaść na wagon, ale jechał z nami jakiś NKWDzista i on strzelał. A więc siostra moja pisała list. Dziecię przed Lwowem wyszła podczas postoju pociągu zrobić siusiu. Założyła brata kufajkę i wyszła. I wtedy ruszył pociąg. A dziecko zostało w lesie. Jaki wtedy był płacz! Tatusi pisał, żebyśmy pilnowali Lucki, a ona właśnie została! Cały wagon płakał. Na granicy rozmawiam z NKWDzistami, żeby ją przepuścili, jak się zjawi dziecko na granicy. NKWDziści nie chcą ze mną rozmawiać, dają komendę "Padnij!", bo będą strzelać - padłam więc w błoto. Druga moja siostra po przekroczeniu granicy wysiadła w Przemyślu - chciała wracać na granicę, żeby coś zakatwić. Jesteśmy już w Katowicach, pada śnieg, patrzę - Terenia z Lucią idzie! Okazało

Janina Maciuk c.d.

nią, że jacyś kolejarze wsadzili ją na stacyjie w tym lesie na pociąg do Lwowa. A Lucia pamiętała nawet numer pociągu. We Lwowie jakaś milicjantka zaproponowała, że zaprowadzi ją do pociągu. Ale w zamian za to zaprowadziła ją do sierocińca. Tam jej nie chcieli wpuścić do sali do dzieci, bili ją, kazali czekać, aż będzie woda - dopiero po kąpieli mieli ją dołączyć do grupy. Na trasie dalej wyprawiono ją po wodę. Lucia wzięła jeszcze ze sobą ruskie dziewczynki. Idąc po wodę nasłuchiwała, w której stronie gwizdzą pociągi - i uciekła na stacyję. Na stacyji rosyjscy żołnierze zabrali je ze sobą do pociągu, na granicy te rosyjskie dziewczynki zawrócone, a siostra moja przyjechała do Polski dzięki rosyjskim żołnierzom. W Pukse w Przemysłu siostra ją zobaczyła - w tej kufajce wysmarowanej, z sucharami, które dostała od rosyjskich żołnierzów. Lucia miała plan na wypadek, gdyby jej nie puszczili do Polski: zamierzała wrócić do Kirowogradu, bo tam były polskie władze, Związek Patriotów Polskich, który pomógłby jej przyjechać do Polski.

Przyjechaliśmy do Katowic. Z Katowic poszli ludzie się rozjeżdżać w różne strony. Kilka rodzin przywieziono do Wąsossa. Tam mieszkaliśmy w jakiejś świetlicy. Po jakimś czasie dostaliśmy pokój z kuchnią i zamieszkaaliśmy: ja z mężem i siostry z bratem. A o ojcu nic nie wiemy. Później zaczęliśmy szukać jakiegoś miejsca. Przyjechaliśmy do Biakogardu. W Biakogardzie był pan Jankowski i on napisał do żony, żeby przyjeżdżała i zabrała ze sobą kilka rodzin. Pojechaliśmy tam, męża brat objął tam gospodarstwo. Mieszkało tam na kupie kilka rodzin. Poszliśmy szukać szczęścia. W Pukse w Biakogardzie dostaliśmy skierowanie do Połczyna. Tam dostaliśmy domek w leśniczówce. Ale już ojciec nas znalazł, zabrał rodzinę. Ojciec mieszkał tutaj koło Lwówka w Golejowie. A ja z mężem zostałam. Później u nas poszedł pracować do gminy, pracował w radzie narodowej. Potem był przewodniczącym Miejskiej

Janina Maciuk c.d.

Rady Narodowej. A rodzeństwo: brat skończył Technikum Mechaniczne, siostra starsza skończyła tylko 7 klas, a siostra młodsza robiła studia. Ma też syna naukowca - dra, a drugiego, magistra. Moje dzieci pokończyły zawodówki.

Ojciec szukał nas bardzo długo. Znalazł nas i zabrał do siebie. Ojciec poznał kobietę i ułożył z nią sobie życie, bo otrzymał wiadomość, że żona /nasza macocha/ zmarła w drodze do armii Andersa. Ale to nie była prawda, bo po śmierci ojca ona się odmalazła w Polsce - mieszka gdzieś w Brzegu /czy w Wołowie/.

Z Marysina odnalazłam Zagórską /ale ona już nie żyje/, Hoćciową /też w Górze Śląskiej/. Pewnego wieczora ktoś do nas zadzwonił - patrzę, stoi jakiś pułkownik. Byłam pewna, że pomylił dzwonek, bo mamy wspólny z sąsiadami przedpokój. Ale on powiedział, że to nie pomyłka, że on do nas. Zobaczyłam, że to Władek, ten komunista z Marysina. Zdziwiłam się, że on jest w polskim mundurze. Od kiedy to on jest Polakiem! Mówiłam mu, dlaczego nas nie uprzedził, że nas mają za parę godzin wywieźć - może byśmy coś sobie przygotowali. Ale on na to, że nie o tym nie wiedział. Przyjeżdżał do nas, odwiedzał nas.

W Marysinie byli nauczyciele: Zosimowicz Józef - nie wiem, co się z nim stało; Roman Wronna - był rozstrzelany jeszcze przed naszą wywózką; Zosimowicza zabrali do więzienia; a z panią Skowrońską nie wiem, co się stało. Pan Orlik z Niechniewicz też był aresztowany, a co z jego żoną - nie wiem.

Do Rosjan jako do ludzi mam taki stosunek: to byli bardzo dobrzy ludzie, w niczym nie byli winni, sami klepali taką samą biedę jak my. Oni nigdy dobrego słowa o Stalinie czy o Leninie nie mówili. Oni byli tacy sami jak my, tak samo pokrzywdzeni. Ja Rosjan lubię.

Nasi ludzie byli bardzo wierzący. Kiedy aresztowali panią Zakrzewską za urządzenie choinki, to zamknęli ją w więzieniu w Szengursku. Pomyśleliśmy, że trzeba ją odwiedzić, coś zanieść.

Janina Maciuk c.d.

Kaśdy dał po kawałeczkuc chleba i ja poszłam te 60 km do Szengurska. Dzwonię do więzienia, wyszedł strażnik. Powiedziałam, że ja do grażdanki Zakrzewskiej. Zapytał, co mam w tym tobołku. Powiedziałam, że suchary, bo nic innego nie mamy. Wpuścił mnie na podwórko więzienne. Weszłam i zobaczyłam, że tam byli aresztowani nasi, Polacy: Kowerko i jeszcze ktoś. Oni zaraz do mnie po polsku. Ja na to, żeby mówili ze mną po rosyjsku, żeby strażnicy nie podejrzewali nas o coś. Zaczęliśmy rozmawiać po rosyjsku. Oni pytali się o rodziny. Po chwili strażnik kazał mi się zabierać. A o pani Zakrzewskiej słyszałam, że ona podobno wróciła do Polski. Ale nie widziałam się z nią, nie wiem, gdzie mieszkała.

Kiedy byliśmy na Ukrainie, to moja siostra, ta młodsza chodziła do ukraińskiej szkoły, oprócz tego pani Bublejowa, nauczycielka, żona leśniczego, uczyła dzieci polskiego, tak półlegalnie. Pani Helena Bublejowa była z synkiem sama, bo mąż jej zmarł w Archangielsku. Mąż jej był leśniczym z nadleśnictwa w Zdzięciole. Pani Bublejowa dała dzieciom takie zaświadczenia, że ukończyły 5 klas. Siostra moja z tym zaświadczeniem poszła w Łęczynie do 5 klasy - w maju, a potem już tu w Lubomierzu /czy Radomierzu/ poszła do 6-ej klasy i w jednym roku zrobiła dwie klasy - VI i VII. Później zdała egzamin do ogólniaka, potem zrobiła studia, wyszła za mąż za adwokata, dobrze jej się powodziło. Ta druga siostra wyszła z głównego księgowego z PKS, a brat ożenił się.

Mąż mój nie żyje już od dwóch lat. Ale to był bardzo dobry człowiek.